

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

Wspomnienia Żołnierza Armii Krajowej w Służbie XIV Kompani Zgrupowania Żelbet w Krakowie 1940-1945

W 2004 roku minie 60 rocznica śmierci dwóch mieszkańców wsi Jaroszowice powiatu Wadowice – Tadeusza Brańki urodzonego 3 maja 1925 r. i Pawła Brańki urodzonego 28 września 1923 r. (byli oni kuzynami) oraz N. Chmiela urodzonego w Andrychowie (daty urodzenia brak). Zginęli oni pod koniec okupacji niemieckiej 17 grudnia 1944 r. rozstrzelani przez niemiecką policję, mającą wówczas swoją siedzibę w Choczni k. Wadowic.

Chłopcy ci byli zbiegami z przymusowych robót w Rzeszy Niemieckiej, dokąd wcześniej ich wywieziono. Poszukiwani długo przez policję niemiecką, ukrywali się zarówno na terenie Generalnego Gubernatorstwa jak i na terenach należących do Rzeszy.

17 grudnia 1944 r. wszyscy trzej przebywali w domu rodziców Pawła Brańki w Jaroszowicach. Późnym wieczorem tego dnia zjawiła się niespodziewanie niemiecka policja, otoczyła dom i uciekinierzy zostali ujęci. Próba ucieczki tym razem nie powiodła się. Skutych kajdankami wyprowadzono z domu i poprowadzono wzdłuż Skawy przez łąki, pastwiska należące do gminy Jaroszowice. Doprowadzono ich w pobliże torów kolejowych (Wadowice – Sucha), do miejsca, gdzie w późniejszym czasie wybudowano przystanek kolejowy zwany „Czartak”, obecnie zlikwidowany wraz z torami. Tam zostali rozstrzelani, a następnie wrzuceni do dołów wykopanych pod nadzorem policji, przez mieszkańców pobliskich domów, odległych od miejsca zbrodni o ok. 400 m. Tuż po zakończeniu wojny w roku 1945, władze polskie nakazały ekshumację ciał zamordowanych i pochowanie ich na cmentarzu w Jaroszowicach. Na miejscu rozstrzelania – pobliscy mieszkańcy wraz z rodziną postawili duży drewniany krzyż, który w latach późniejszych został nieco przesunięty o ok. 100 m. w związku z przygotowaniem tych łąk i pastwisk do lądowania samolotów sanitarnych.

Na przełomie lat 60 i 70 krzyż zniknął, został usunięty lub zniszczony ze starości. Dziś nie został po tym miejscu żaden ślad.

Podobna tragedia miała miejsce 18 grudnia 1944 roku. Ta sama policja zamordowała mieszkańca Chobotu – Ponikwi Artura Radwana. Był on członkiem Oddziału Partyzanckiego działającego na Podbeskidziu (Leskowiec – Babia Góra) noszącego nazwę „Błyskawica”.

Artur Radwan został zatrzymany w Andrychowie przez policję niemiecką. Posiadał przy sobie większą ilość żywności, którą przenoślił nielegalnie przez granicę na Skawie do Generalnego Gubernatorstwa i tam sprzedawał po wyższej cenie. W ten sposób dorabiał sobie na życie przy prowadzeniu małego gospodarstwa rolnego, które nie przynosiło mu żadnego dochodu.

Będąc zatrzymanym w Andrychowie i oczekując na posterunku policji na dalsze przesłuchanie był pilnowany przez starego wiekiem policjanta. Funkcjonariuszem tym był Ślązak mówiący po polsku z akcentem śląskim. Korzystając z tego, że pilnujący go policjant lekko się zdrzemnął, Artur Radwan wyskoczył na tylne obejście budynku, upadając w zarośla, lekko kulejąc uciekł i udał się przez pobliskie wsię w strony rodzinne. Idąc do swojego domu w Chobocie, po drodze najpierw wstąpił do swojego ojca (odległość między dwoma domami wynosiła ok. 600 m). Opowiadając to zajście żartobliwie chwalił się jak oszukał tego starego Niemca, mówiąc o nich, jak są naiwni i łatwowierni. Ojciec po wysłuchaniu go, poradził mu, aby nie wracał już do swojego domu, bo policja zaraz u niego się zjawi, tym bardziej że mają jego dokładny adres, gdyż jego dowód osobisty został na policji. Za poradą ojca A. Radwan nie powrócił już do swojego domu, a spał i nocował w stodołach sąsiadów, także u mojego ojca. Powiadomił tylko swoją matkę, gdzie przebywa, a ona późnym wieczorem donosiła mu pożywienie.

Dowiedziawszy się o tym, że na terenie Podbeskidzia w okolicach Leskowca działa oddział partyzancki, wstąpił do niego i przyjął pseudonim „Pantera”. Oddział ten o nazwie „Błyskawica” w tym okresie był organizacją podporządkowaną Armii Krajowej. Po wkroczeniu na te tereny wojsk radzieckich oddział ten rozwiązał się, a członkowie ujawnili się przed władzami Polski tzw. Ludowej i większość z nich podejmowała różne stanowiska w urzędach nawet Milicji Obywatelskiej, a także w Urzędach Bezpieczeństwa. Przy ujawnieniu się – podawali, że służyli w oddziałach partyzanckich, które podlegały organizacji wojskowej Armii Ludowej lub Batalionów Chłopskich. Na dłuższy czas faktów tych nie dało się ukryć, gdyż wywiad i kontrwywiad władzy ludowej, fakty te ujawnił. Członkowie tej organizacji byli szczególnie obserwowani, co sprawiło, że sami rezygnowali z pracy, zwalniając się na swoją prośbę lub wręcz uciekając ze służby z bronią w rękę.

Mam na to osobiste dowody, gdyż pracując już wówczas na terenach tzw. „Odzyskanych” (zachodnich), udzielałem schronienia, (również i moja rodzina) tym zbiegłym funkcjonariuszom (zresztą kolegom moim z lat szkolnych).

Okres ukrywania się byłych członków organizacji AK – późniejszych funkcjonariuszy był różny - ok. jednego roku do czasu ukazywania się ustawy amnestyjnej, co nie zmieniło faktu, że po ustawie tej funkcjonariusze byli ponownie aresztowani i skazywani na długoletnie więzienie.

Artur Radwan był człowiekiem o nadzwyczajnej inteligencji (jak na mieszkańca wsi podbeskidzkiej), w młodości zaczął studiować teologię, z której w pierwszym roku zrezygnował. Rodzice jego posiadali małe gospodarstwo rolne, na którym i on pracował. Artur miał się różnych zawodów, pracował w Fabryce Nawozów Sztucznych w Wadowicach, której właścicielem był E. Jakubowicz. Zajmował się również wycinką drzewa z lasów łekawickich i skawienickich. Pracował także przy spływie drzewa tratwami na Skawie, rozwoził miotły do pobliskich miast, a zwłaszcza do kopalń hut śląskich. Wraz z ojcem posiadali jednego konia (był on bardzo wychudzony, uprząż składała się ze sznurka, a wóz zbity był z desek). Pojazdem tym rozwoził swoje produkty do wymienionych miejscowości.

Trudnił się też sprzedażą dla żołnierzy artykułów spożywczych, handlował zwłaszcza mlekiem i oranżadą w pobliskiej strzelnicy wojskowej odległej od niego o ok. 1.5 km.

Żył w biedzie. Podejmował ryzykowne decyzje – zaciągał w bankach pożyczki, których w terminie nie płacił, zadłużał się u właścicielei sklepów, zakupując towar spożywczy do dalszej sprzedaży. Dużą przyczyną nierentowności gospodarowania na wsi jak również i jego handlu, stał się światowy kryzys, który w wielkim stopniu był odczuwalny również w Polsce.

Kilka lat przed wybuchem II wojny światowej właścicielem Fabryki Nawozów Sztucznych w Wadowicach był E. Jakubowicz. A. Radwan pracował tam przez jakiś czas. Znając jego zdolności organizacyjne i handlowe właściciel zaproponował mu współdziałanie w podjęciu wybudowania podobnej fabryki w Mucharzu (ok. 8 km. Od Wadowic). Nie mając gotówki, A. Radwan zaciągnął pożyczkę w Banku Spółdzielczym w Sosnowcu, gwarantował ją majątkiem swoich rodziców. Zabudowania te w stanie surowym ukończono tuż przed wybuchem wojny. Na początku 1939 roku Komornik Sądu Powiatowego w Wadowicach wszczął postępowanie egzekucyjne za niespłacenie zaciągniętej pożyczki w banku.

Jednak wskutek II wojny światowej, egzekucja nie doszła do skutku i uratowała jego i rodziców przed wyrzuceniem na bruk. W czasie okupacji niemieckiej pracował w gospodarstwie rolnym z rodzicami, zajmował się również pokątnie handlem.

Po wstąpieniu do oddziału partyzanckiego, który występował pod nazwą „Błyskawica” Artur Radwan przyjął sobie pseudonim „Pantera”. Od czasu do czasu wracał ze swych kryjówek do domu na noc, aby się dobrze wyspać, a na co dzień wracał do oddziału. Krótko przed wejściem na te tereny Armii Radzieckiej 18 grudnia 1944 r. Artur wrócił z lasu na noc, powiadomił swoją mamę, aby go obudziła wcześniej rano o godz. 4.30 (wg. relacji ówczesnego wójta gminy Chocznia, mieszkającego obok). Matka jednak albo zasnęła, albo zapomniała i nie zastosowała się do jego prośby.

MOJE SPOSTRZEŻENIA Z TEGO DNIA

W dniu 18 grudnia 1944 r. wcześniej rano wstałem z łóżka celem udania się do swojego brata zamieszkałego w Zatorze. Zapaliłem lampę naftową, ubrałem ciepłą odzież, przygotowałem rower i odsłoniłem firankę w jednym z okien. Zauważyłem, że przed domem stoją, a raczej przesuwiają się niemieccy żołnierze, trzymając na smyczy psa policyjnego. Było ich 4 lub 5. Powiadomiłem o tym swojego ojca, który spał w drugim pokoju. Ojciec natychmiast wstał z łóżka, ubrał spodnie, zarzucił na siebie płaszcz i otworzył główne drzwi domu. Jeden z tych policjantów wypowiedział słowa „Guten Morgen”, na co ojciec odpowiedział tymi samymi słowami. Stali przed furtką ogrodzenia drewnianego. Następny z nich, jak się później dowiedziałem od ojca, był komendantem tej policji i zwrócił się do niego aby dokładnie zaśniebiał okna, żeby światło nie przebijało na zewnątrz. Obowiązywało wówczas tzw. zaćmienie (Verdunkelung). Ojciec odpowiedział, że jest lampa naftowa, prawie niewidoczna na zewnątrz. Rozmowa toczyła się w języku niemieckim, który ojciec dobrze znał. Pracował długie lata w Niemczech, znał także komendanta, gdyż nieraz sprzedawał mu owoce w Wadowicach.

Po zamianie paru zdań wszyscy Niemcy ruszyli bardzo powoli do głównej drogi, przed domem rodziny Dudziaków, a przyszli od strony Ponikwi – Leniówki. Poszli okrężną drogą w kierunku domu Artura Radwana, nie wykorzystując skrótów. Tra-

sę przejścia opisuję dlatego, że po wojnie niektórzy mieszkańcy podejrzewali, że o pobycie Artura ktoś z sąsiadów doniósł.

Ja jednak wykluczam ten wariant zdarzeń. Przemawia za tym sposób i szybkość poruszania się policji idącej na akcję. 18 grudnia 1944 w godzinach popołudniowych będąc już w Zatorze, dowiedziałem się od siostry, która przyjechała z Chobotu, że po pół godzinie Artur Radwan został zastrzelony przez policję, a wraz z nim śmierć poniosła jego matka. Oto dalszy przebieg wydarzeń według relacji ówczesnego byłego wójta gminy Chocznia.

Szczekaniem psów tak policyjnych jak i miejscowych, Radwan został obudzony i przez okno zauważył, że do drzwi dobija się policja. Otworzył okno chcąc wyskoczyć, wtedy otrzymał serię strzałów z pistoletu maszynowego. Strzelał osobiście komendant. Wszyscy weszli do domu, w kuchni stała przy piecu matka Artura, komendant oddał do niej dwa strzały, zabijając ją na miejscu. W relacji przed sołtysem Choczni, bo siedziba policji Ponikiew – Chobot podlegała pod wieś Chocznia, tłumaczył się, że musiał zastrzelić matkę, gdyż w razie arestowania jej przez „Gestapo” za ukrywanie tzw. „bandytów”, wieś mogłaby zostać spalona. Relację powyższą również potwierdził mi w późniejszych latach kolega A. Radwana z tego samego oddziału partyzanckiego Bronisław Byrski ps. „Dziki”, a później profesor Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Krakowie.

Również wspominałem, że w czasie okupacji niemieckiej oddział partyzancki, który działał na terenie podbeskidzia a w szczególności pod górą „Leskowiec” - podlegał Kierownictwu Armii Krajowej. Oddział ten przyjął nazwę „Błyskawica” i liczył ok. 20-35 osób. Oddział ten niczym szczególnym się nie wyróżniał od innych oddziałów leśnych. Właśnie do tego oddziału Artur Radwan wstąpił, po swoich zajęciach opisywanych poprzednio, a które go spotkały a Andrychowcie.

Opis działalności tego oddziału, w którym osobiście uczestniczyłem:

Oddział ten był słabo wyposażony w broń osobistą, brakowało broni palnej w szczególności długiej – czyli karabinów. Kierownictwo tego oddziału, którego d-cą był dochodzący z Wadowic porucznik (jak pamiętam o pseudonimie „Dąb”) postanowił zaopatrzyć się w uzupełnienie broni i postanowił ją zdobyć choćby w niebezpieczny sposób. W miejscowości Mucharz w budynkach murowanych, które zostały postawione przed wojną przez właściciela Fabryki Nawozów Sztucznych w Wadowicach i przy współudziale Artura Radwana, spełniały daną funkcję, Niemcy przeznaczili te zabudowania na magazyny broni, części do rakiet i skład paliw płynnych do samochodów. Dowództwo tego oddziału postanowiło właśnie uzupełnić swoje uzbrojenie w tych magazynach.

Jesienią 1943 roku, przyjechałem do Chobotu – Ponikiew z Krakowa, nielegalnie przekraczając granice w Spytkowicach. Mieszkałem wówczas ze starszym bratem, który pracował na głównej poczcie. Brat posiadał stałą przepustkę graniczną i co niedzielę przyjeżdżał do Zatora, do swojego, starszego od siebie, brata. Przez 3 lata przekraczania granicy w Spytkowicach znał dokładnie tych celników, którzy byli w przeważającej ilości ślązakami mówiącymi po polsku z akcentem regionalnym. Za wódkę nie było trudności w przepuszczaniu mnie wraz z bratem przez granicę, bez ważnej przepustki. Koledzy z lat szkolnych, którzy w tym czasie już tkwili w tych oddziałach partyzanckich, dowiedziawszy się, że przybyłem z Krakowa, odwiedzili mnie żądni wiedzy o świecie.

Jednego późnego wieczoru odwiedziło mnie 4-ch kolegów, byli to Bronisław Byrski, Jan Ziolkowski i jeszcze jeden, nazwiska nie pamiętam pochodzący ze wsi Jamnik k. Mucharza. Jeden z tych kolegów – Bronisław Byrski zaproponował mi pójście na poważną akcję, w tym dniu, ponieważ jeden z uczestników oddziału zrezygnował z tej wyprawy, ze względu na chorobę żołądka. Był to kolega szkolny Leon Radwan. Schował się w stodole swoich rodziców.

Zgodziłem się, tylko powiedziałem, że powiadomię o tym wyjściu swojego ojca i powiem, że wrócę późną porą lub nad ranem. Ojciec bardzo zaniepokojony tą wiadomością, początkowo odradzał, ale się w końcu zgodził. Powiedziałem mu również, żeby obserwował łunę na niebie czy będzie widoczna. (Spalenie magazynu broni w Mucharzu było naszym celem, stąd prośba o obserwacje łuny). Odebrałem wręczony mi przez Bronisława Byrskiego krótki pistolet niemiecki (4 strzałowy, typu Steyer), w którym tkwiły tylko 3 naboje. Dochodziła godzina 23. Punktem zbiórki i wyjścia na akcję było pogranicze wsi Koziniec – Świnna Poręba – Chobot, zwane potocznie pod „Dębami”. Miejsce to wyznaczył dowódca o pseudonimie „Dąb”. Godzina wyjścia punktualnie o 00.30. Do miejsca akcji szliśmy między polami, łąkami, miedzami zdala od zabudowań wiejskich, jeden za drugim „gęsiego”. Przy wyjściu dowódca nas poinformował, że nie wolno nam palić papierosów, świecić latarkami, ani głośno mówić. Droga mi się bardzo dłużyła, z oddali było słychać tylko szczekanie psów w pobliskich wsiach. Nareszcie zlecieliśmy z górzystego terenu w dół. Dowódca zatrzymał oddział, (nie pamiętam dokładnej liczby oddziału, ale było nas chyba nie więcej niż 20) i rozlokował ludzi w zaroślach wielkich krzaków. Leżeliśmy oddaleni od siebie o ok. 20 m. a od magazynu 100 metrów. Nie wszyscy posiadali broń palną, niektórzy byli zaopatrzeni w butelki z benzyną.

Plan działania miał być następujący (wg B. Byrskiego):

Po sprawdzeniu ilości wartowników pilnujących magazynu, miał nastąpić skok przez siatkę drucianą otaczającą zabudowania, potem obezwładnienie wartowników i jeżeli to możliwe nie używanie broni palnej (tylko we własnej obronie). Zaopatrzenie się w broń (odebraną wartownikom), potem podpalenie materiałów płynnych, szybkie wycofanie się do miejsca wyjścia. Przed akcją, d-ca Oddziału dał ostatnie wskazówki, żebyśmy po wejściu do magazynów głośno krzyczeli do wartowników i używali słów tak niemieckich jak i polskich (zwłaszcza wymieniali tytuły wojskowe). Miało to mieć wielkie znaczenie polityczne, że oddział ten nie jest jakąś bandą, a formalnym oddziałem wojsk polskich. Dowództwo akcji miało zadanie ułatwione, gdyż dokładny plan rozmieszczenia broni, paliw płynnych jak i skład załogi pilnującej dostarczyła organizacji, zatrudniona w tych magazynach, jedna z bardziej odważnych osób – córka kierownika Szkoły Podstawowej w Świnnej Porębie, Maria Synowiec.

Nie zdołałem ustalić, czy była ona członkiem jakiegokolwiek organizacji podziemnej. Zmarła po długotrwałej chorobie w roku 1985 i pochowana jest na cmentarzu rakowickim w Krakowie. Przed samą akcją, dowódca oddziału jednak wyznaczył jednego człowieka, który dokładnie znał teren, aby sprawdził ilu w tym dniu wartowników pełni służbę i strzeże magazynów. Chciał sprawdzić, czy meldunek, który złożyła Maria Synowiec pokrywa się z prawdą. W tym celu wydelegował najstarszego wiekiem członka oddziału o nazwisku Artur Radwan o pseudonimie „Pantera”.

Radwan poprosił dowódcę o dodanie mu jeszcze jednego człowieka, który mu będzie pomocny przy przeskakiwaniu płotu drucianego, co dowódca uczynił. Wybrany przez Artura kolega był mieszkańcem bardzo bliskiej wsi Jamnik i znał ten teren tak samo dobrze jak Radwan. Wydelegowani dwaj konspiratorzy długo nie wracali (ok. pół godziny), zaniepokojony dowódca wysłał za nimi dalszych dwóch członków, zaopatrując ich w latarki elektryczne i oznajmił im, żeby w razie spotkania się z nimi dali znać krótkimi sygnałami świetlnymi. Nie uszli daleko, zabłystły świetlne znaki. Wrócili wszyscy 4 członkowie.

Artur Radwan zameldował dowódcy, że przed budynkiem po szosie spaceruje 4 uzbrojonych w automaty żołnierzy z karabinami powieszonymi na ramieniu. Przed samym budynkiem (magazynem) stoi na zapalonym silniku samochód typu „gazik” z kierownicą za kierownicą. Na samochodzie siedzą żołnierze w hełmach, ale ile ich jest dokładnie nie mógł stwierdzić. Według relacji, czyli meldunku jaki złożyła Maria Synowiec codziennie pilnuje tych magazynów tylko dwóch wartowników, którzy albo spacerują po szosie, albo siedzą przed budynkiem. Dowódca po dłuższym namyśle, a raczej naradzie ze swoimi zastępcami, w której uczestniczył również Bronisław Byrski zarządził odwrót i zrezygnował z akcji w tym dniu, wyznaczając inny dzień jako bezpieczniejszy dla oddziału. Wycofaliśmy się w kierunku góry Leskowiec przez wsie Jamnik – Świnna Poręba, w kierunku Kozińca. Ja, uczestniczyłem w akcji całkiem przypadkowo, a za mnie ręczyli przed dowódcą moi koledzy, że jestem zaufanym, a także członkiem Armii Krajowej w Krakowie. Odbiłem od tego oddziału w tym samym miejscu, z którego wychodziliśmy czyli tzw. wzgórze pod dębami. Skierowałem się do swojego domu rodzinnego w Chobocie. Ojciec bardzo zaniepokojony o mnie, nie spał całą noc, oczekując przed domem.

Krótko przed tragiczną śmiercią, Artur Radwan zwierzył się w wielkiej tajemnicy, swemu najlepszemu koledze do którego miał największe zaufanie, że człowiek wyznaczony przez dowódcę, aby sprawdzić ilość wartowników magazynu, złożył mu fałszywy meldunek. Zawyżając wielokrotnie stan wartowników pilnujących magazynów oraz że żadnego samochodu typu „gazik” w tym dniu nie było. Dzieląc się tą wiadomością ze swoim kolegą powiedział, że zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła za złożenie takiego fałszywego meldunku. Wyjaśniał dalej, że do tego przyczynił się jego współtowarzysz pochodzący ze wsi Jamnik, która graniczyła z tym terenem. Bał się, że za wysadzenie tych magazynów w powietrze Niemcy w odwet za to spalą pobliskie wsie, spacyfikują je, jak to już wielokrotnie miało miejsce w innych rejonach Polski.

Artur Radwan, jak to już wielokrotnie wspominałem, był człowiekiem o wielkim doświadczeniu życiowym, chociażby z tytułu jego wieku. Miał wówczas 42 lata i był najstarszym wiekiem członkiem oddziału. Był realistą przewidującym ujemne skutki tej akcji, przy słabym uzbrojeniu tego oddziału, przewidywał represje ze strony Niemców na mieszkańców okolicznych wsi. Zresztą jeszcze przed pójściem na tą akcję dyskutował ze swoim dowódcą, czy akcja ta ma sens, czy straty ludzkie w oddziale nie będą większe niż zysk jaki po tej akcji będzie. Dowódca jednak na koniec tej rozmowy, tłumaczył mu, że będzie to sukces propagandowy – polityczny i dowód na to, że oddziały partyzanckie walczą o wolną Polskę. Jak mi kiedyś wspominał Bronisław Byrski, w dyskusji tej dowódca zwrócił się do Artura

Radwana (nawet podniesionym głosem) „Pantera”, nie dyskutować ze mną, tylko wykonywać moje rozkazy. W tych warunkach Artur R., musiał się podporządkować rozkazom, aby nie być posądzonym o tchórzostwo. Kolejną wersją, która również nie jest sprawdzona, a która była nie raz wśród kolegów omawiana po wojnie jest następująca. Jest prawdopodobne, że Artur Radwan składając ten fałszywy meldunek dowódcy, miał na myśli, to że jest współwłaścicielem zabudowań wraz z E. Jakubowiczem, a po wysadzeniu ich i spaleniu poniesie sam stratę.

W dniu 11 marca 1945 roku, przy ekshumacji zwłok Artura Radwana w Chobocie – Ponikwi i pochowaniu go na cmentarzu w Wadowicach (w sektorze XXI – 33) nad grobem jego wygłosił piękną mowę pożegnalną jego współtowarzysz broni, najbliższy jego sąsiad i kolega z partyzantki – Bronisław Byrski. W swoim przemówieniu scharakteryzował całe bujne życie A. Radwana i jego heroiczną walkę o swój byt jak i swojej rodziny, przed i podczas okupacji. Zakończył słowami: Śpij kolego w ciemnym Grobie – NIECH CI SIĘ POLSKA PRZYŚNI.

Nikt inny nie potrafił tak przedstawić i scharakteryzować życia Artura Radwana, jak uczynił to właśnie Bronisław Byrski.

Do napisania tych wspomnień skłoniło mnie posiadanie dokumentów zachowanych w Archiwum Akt byłej Organizacji Wojskowej. Były one u jednego z wyższych oficerów b. Armii Krajowej – Zgrupowania „Żelbet” – Okręg Stanisława Czapkiewicza, występującego w czasie okupacji pod pseudonimem „Sprężyna”. Z relacji pisemnej i zdjęć tegoż oficera, wyraźnie wynika, że zamordowani chłopcy – mieszkańcy wsi Jaroszowice byli członkami nielegalnej organizacji wojskowej AK i mieli kontakt z dowództwem tej organizacji w Krakowie.

Jak dotąd nikt z władz administracyjnych jak i związków kombatanckich nie zainteresował się tymi miejscami zbrodni, dokonanymi przez okupanta niemieckiego. Nie ma żadnego krzyża, czy też obelisku, chociażby kamiennego, upamiętniającego ten zbrodniczy czyn.

•

Dominik Byrski – ps. „Czarnowiejski” – były żołnierz Armii Krajowej 2-giej sekcji – 3-gp plutonu XIV- tej kompanii 20 p.p. zgrupowania „Żelbet” Kraków. Również funkcjonariusz Wywiadu i Kontrwywiadu AK tegoż zgrupowania. Członek Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

OD AUTORA

Większy zakres, tak z czasów okupacji niemieckiej jak i po niej, znajdzie Czytelnik w wydany w Krakowie – Nowa Huta wydawnictwie książkowym kwartalnym, kolportowanym przez Światowy Związek Armii Krajowej – oddział wschód – pod tytułem „Okrucy wspomnień z lat walki i martyrologii AK”. Można je nabyć za kwotę 5 zł., a nawet zaprenumerować w Redakcji: 32-931 Kraków, Osiedle urocze nr „C” nr 10 tel. 644-29-51 lub 644-23-43.

Polecam szczególnie kwartalnik nr 30-32 z roku 1999, które uwzględniają moje wspomnienia z lat okupacji na terenie Wadowic.